Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 14. Poznań, dnia 1. Lipca. **1844.**

POEZYJA.

IMPROWIZACJA.

Kiedy wieszcz lutnię weźmie do ręki,
I opętany marzeń natłokiem
Z spleśniałem sercem, z szlochaném okiem
Rozgłaszać pocznie miłośne jęki
O jakże wtedy chętka mię bierze
Zmówić za jego duszę pacierze!
Ale gdy lutnię silnie uchwyci
I dźwięcznie w nutę lacką uderzy
I z grobu wskrzesi zmarłych rycerzy
O jakże duszę bosko zachwyci!
O jakże słodko do serca płynie
Pieśń o kochanéj krainie!

Wskrzeszone prochy pieśni tych cudem
Przywdzieją ducha i siły
I bratnie dłonie powiążą z ludem
Za który żyjąc walczyły.
Bo kiedy iskra w poety oku
Zabłyśnie świętym płomieniem
I pieśń zapali natchnieniem!
O ileż w duszy wznieci uroku!

A w kim się iskra taka nie pali
Na próżno ten piersi trudzi
Po lutni brzdąka, skarży się, żali
W nikim spółczucia nie zbudzi.

Jego głos w serca bratnie nie wpłynie
Zimno po strunach przedzwoni
I nikt radosnéj łezki nie zroni
I pieśń z pieśniarzem zaginie,
I czemuż piosnka spółczucia nie wzruszy?
»Bo w niéj nie było narodowéj duszy.«

Ż.

Dzień 23. Czerwca.

(Ciąg dalszy.)

W 1841. roku, po długiéj, nużącéj drodze wypoczywałem był dni kilka w samotnéj w pośród lasu gospodzie, nieopodal matki rzek naszych, a w samym jądrze Mazowsza. Czas zbiegł mi na rozmowach z moim gospodarstwem, z przybywającymi na wódkę i pohulankę pobliskich wsi mieszkańcami i samotnych przechadzek po sosnowym lesie — tak mnie zachwycił dzień 23. Czerwca. — Nad zachodem słońca blisko, kiedy dziewczęta z mojéj gospody uwiły już wieńce z róży, lilii, bylicy i ruty i w świątecznych sukienkach, w kwiatach świeżych, wesołe pobiegły ku Wiśle, poszedłem i ja zwolna za niemi, po cienistym chłodzie leśnym. — W pośród gwaru sosen czarnych, kołysany tym posępnym szumem, utonąłem duszą całą w tajemniczym świecie podań, któremi Lud — jak złotą pajęczą mgłą — osnuł twardą nagość bytu; a zadumanemu o cudach owych powieści — lasach bez końca, zamkach zaklętych, widmach cudownych — znikł czas z oczu, odbiegła pamięć istotnego świata i życia..... Nagle wśród tych snów uroczych w oczy me uderzyło jasne światło purpurowego słońca, niećmione już gęstwą leśną i o ucho zadźwiękły zgiełkliwe, znane nuty mazowieckich pieśni. Wstrzymałem się na wzgórzu piaszczystem, pod ścianą gęstego boru i spojrzałem do koła siebie.

W dole, szerokie, bujne łono Wisły czerwieniło się krwawo; — w opromienieniu jasnem zachodzącego słońca, gwarne gromady zalegały brzeg jéj. Na wązkim piaszczystym klinie, głęboko wchodzącym w rzekę, stał orszak młodych cór wiejskich: z różnobarwnych wstąg promienie wiły się około włosów splecionych w kwiaty świeże polnéj róży, lilii białéj i czarodziejskiéj bylicy; — w ręku, wysoko nad głową, wznosiły się drugie takie wieńce. Z pochyloną postacią nad wodę, z okiem daleko wpatrzonem, chór ten cały na raz zabrzmiał pieśnią, na jedną z tych rzewnych mazowieckich nót — przeciągłych, — niepewnych, — na pozór bez taktu i miary,

— chłodnych wilgotnych smutnych i przesiąkających, jak mgła po któréj zwykły się rozlegać.

»Oj! płynież — płynie
Po téj białéj głębinie
Para łabędzi!
A z temi białemi,
Z łabędziami temi
Różany wianek.

O moi ptaszkowie!
Nieścież go na sobie:
Niech nie zatonie!
Zanieścież mój wianek,
Tam gdzie mój kochanek
Tęskni myślący o mnie.

Włosy w żar rzucałam,
Z kukułką gadałam —
Miałeś Jasiu przyjść!....
I czekam, i schnę z tęsknoty, —
O! mój ty wianeczku złoty,
Ty mi Jasia ziść!«....

Z ostatnią nutą piosenki, wieńce padły z rąk śpiewaczek, klasły rękoma zarazem; — ochocza chłopców gromada wykrzyknęła radośnie. — A na wodzie!.....

Niby smug w Maju, bystry rzeki prąd
Kwiaty jasnemi rozkwita.
Rączo, migotnie na wszystkie strony,
Płyną kwieciste z falą korony:
Tę woda składa na piaszczysty ląd, —
Tę przepaść chwyta, —
Tę wziął sobie na głowę bałwan zapieniony,
I płynie w niéj wspaniale.... A nad wodą, rząd
Dziewic stoi, a wzrok ich trwożnie wytężony
W biegu wieńców wróżbę czyta.

Bystra fala chłonie
Wonnych kwiatów wianek
Dziewcze łamie dłonie —
Niestały kochanek!
I palcy białemi
Modre kryje oczy;
Jednak skrycie niemi
Za swym wieńcem toczy.
Aż znowu po chwili,
Poskoczy jak dziecie:
Bo oto jéj kwiecie
Z wody się wychyli,
I płynie — płynie
Za bystrą rzeką,
Płynie daleko —
Aż wreście ginie
Z oczu radosnéj dziewczynie.........

Na raz okrzyk niezmierny, uroczysty wzbił się — wrzasły z całych sił skrzypice, fujary i mazurska duda; kłęby dymu czarne wionęły nad wodą, a po chwili krwawy płomień buchnął wysoko z potrójnego stósu. — Wszystko co żyje wita go pieśnią rozgłośną, — dziewczęta biegną od wianków i w koło powszechne się mieszają: młodzi parobcy chwytają je za ręce — wszystko wiąże się do jednego korowodu, cała gromada śpiewając pląsa do koła ogniska; a z boku grzmi muzyka i rozbudza echa wieczorne.... A pieśń, i trzask ogniska, i wieczorny brzęk nadwodny cudownie zgodnie zlały się ze sobą; ani nie było nic w koło, coby bądź w uchu, bądź w oku, obrazu jedność zdołało zamącić. Spojrzałem. —

Cały krajobraz z obu brzegów Wisły zawierały posępne lasy sosnowe, z początku czarno zielone, daléj sinemi wyglądające szczytami, daléj jak mgła tylko widne i rozpływające się w mgle. W pośrodku śrebrna Wisła z cicha się wznosi, jak pierś dumająca o upłynionéj przeszłości; nad nią, pomiędzy wzgórzami i drzewy rozpierzchniona wieś. Nad wsią, na jałowéj górze panującéj prawemu brzegowi, kilka dębów wiekuistych, olbrzymich, poszarpanych wichrami, popalonych piorunami, z zeschłemi na poły szczyty, pałało w objęciu słońca, niknącego w téj chwili wśród ich rosochatych gałęzi — niby ostatnia światłość upadającéj wiary nad ostatniemi z drzew świętych! A po za rzekę, z czarnego lasu, zaledwie widnym w pomroku, krzyż wygląda czołem ciemnem: — to pierwszy wschód nowego kościoła nad ziemią polską! A przedemną Sobótka!.... Myśli, uczucia dziwne, ogromne rozkiełznanym tłumem rozbiegały mi się po krwi; — w świetle natchnienia jasnem stanęło, co było kiedy mi ciemnem i niepojętem w dziejach narodu mojego.

W tém właśnie przybiegł do mnie z nad rzeki młody, poznajomiony już ze mną parobczak, zapraszając by z nimi podzielić zabawę. Skwapliwie zeszedłem ze wzgórza — u ognisk powitany czarką wódki i przyjaznem słowem, z całą szczerością wesela rzuciłem się w bawiące koło i dopóki sił stało dzieliłem z młodemi braćmi memi taniec ich ponocny. — Znużony, odpocząłem wreście w kole gwarzących, przy dzbanach wódki i piwa pełnych, starców. Długo, długo słuchałem nieprzerwaną koleją ciągnących się z ust ich powieści owych powieści — prostych, krótkich, których spisanie niepodobném jest dziełem, które pojedyńczo wzięte żadnéj myśli, żadnego na pozór nie mają znaczenia, a jednak wsiąkają w duszę, jako rosa w ziemię spiekłą, i z ich rozpierzchnionych szczegółów snuje się tam jeden olbrzymi obraz, wielka pieśń obwijająca całe jestestwo nasze. Słuchałem ich — a przed nami wciąż przy trzaskającem ognisku żywe wieńce tancerzy, w fantastycznym blasku pło-

mieni, wiły się niby w zjawieniu — niby w śnie wieszczym; a księżyc pełny z wysoka lał na śpiące lasy nadbrzeżne, na piaski i nurty Wisły swoje mleczne, spokojne, tajemnicze jak myśl o nieśmiertelności światło — i zamieniał w wielki srebrny namiot wilgotne warstwy powietrza, brzmiące, drżące od pieśni i gęśli. . . . .

Już dobrze miało się ku północy, kiedy z nienacka czarne chmury ciężące na wschodzie podniosły się z głośnym szumem i w momencie zaczerniły niebo, a grzmot głuchy groźbą burzy nadchodzącéj zawył. Nieład, popłoch w zgiełku rozproszyły szyki radośne; tanecznicy pochwytali z pospiechem rozrzucone szaty swoje, i tłum cały pierzchnął do wsi, nim jeszcze echo grzmotu ucichło. Na piaszczystem pobrzeżu Wisły ja sam tylko pozostałem — i trzy samotne stósy Sobótki, szamocące się z coraz wzmagającym wichrem. —

Teraz gdy wzburzone fale wyobraźni rozkołysanéj wróciły znów do swego łoża, począłem dopiero zastanawiać się nad widzianym tylko co obrzędem, i porównywać go z tym który niegdyś widziałem nad téjże rzeki falami. Było to w Warszawie. Warszawa, stara stolica nasza, uroczyście obchodzi puszczanie wieńców: — co samo już dowodzi jak w największém mieście Polski przemaga żywioł gminny, nad zepsuciem innych warstw mieszkańców. Porwana potęgą tego żywiołu cała publiczność zalewa dnia 23. Czerwca nadwiśle, most cały i Pragę skrwawioną i widzisz tu wtedy cały, tak zwany, kwiat towarzystwa, wszystkie strojne i błyszczące jego córki. Ale dla tych wykwintnych, modnych panienek obrzęd cały kończy się na przechadzce. One tu idą rzucić zalotnem okiem, ku głupiéj jak one same młodzieży wypachnionéj, pochwalić się ze strojem, nieraz okupionym drogo — ceną sumienia ich ojców, lub krwią i potem wieśniaka i nic więcéj. — Szczupłą liczbę wieńców rzucą tu tylko biedne dzieci wiejskiéj strzechy, za chlebem w mieście ciężko pracujące, a których przecież dotąd nieskaził dech brudny i błoto jego, — kilka dziewcząt z rodzin ubogich rzemieślników naszych, co równo z chłopem zawsze gotowi na głos ojczyzny, równo z nim pielęgnują ducha jéj.

Dla salonowych motylów obrzęd ten zanazbyt prosty i gminny; one wstydziły by się nawet jedną chwilę, nawet w imieniu ojczystego wspomnienia, podzielić ze wzgardzonym Ludem. Czy też może czują w sercach że skalane ich ręce niegodne tego uczestnictwa, że nie wolno im wspól z gminem kapłanić wielkiéj czci przeszłości? — A przecież wierzcie mi wy młode, któreście nigdy młodości nieznały, z rozsądnem i starem sercem, zwiędłe przed czasem, kunsztowne lalki! gdybyście na jedną godzinę zdołały wpleść się w czarodziejskiego życia Ludu koło, w nieśmiertelnéj krynicy ducha jego wszystek wasz brud i pleśń by znikła, i wstałybyście raz w życiu młode, piękne, rzeźwe — opromienione świętą tęczą poezyji! . . . . .

(Dokończenie nastąpi.)

WYJĄTEK

z dziela:

Kilka wspomnień i kilka obrazów

przez

Julię Woykowską.

(Dokończenie.)

Obudziłam się, a to słowo: »*Krom szaty jedynéj niemam nic na świecie*« ciągle dźwięczało mi w uszach. — Człek był młody, był dzieckiem, a choć zdawało mu się zawsze, że jak najlepiéj używa pieniędzy; przecie nieraz kupił co niepotrzebnegó. A więc to słowo »*krom szaty jedynej*« męczyło mnie okrutnie.

Wstałam, ubrałam się, zaczęłam rozkładać suknie moje przed sobą — było ich sześć. — Jakby grzechy śmiertelne leżały one teraz przedemną — a zdawało mi się że każda z nich urąga się z mego kłopotu.

Zaczęłam przeliczać ile to złotych, talarów kosztowała z nich każda. Pot gorący wystąpił na czoło!

O gdyby mi kto był przyniósł w téj chwili suknię jedną — jedyną szmatę, byle jaką, byle taką żeby ludzie się nie śmiali — a żeby zabrał był wszystkie te suknie i dał mi trzy talary dla Maryny; — zdaje mi się że byłabym upadła przed nim na kolana.

Teraz dwie miałam męki. Trzech talarów nie było dla Maryny — a sumienie wyrzucało mi z goryczą: »żebyś nie miała sukien tyle, miałabyś trzy talary.«

Chciałam uciec przed sumieniem — poszłam do książki — tak robi wiele ludzi! Chciałam na wzór wielkich filantropów działać w wielkim zakresie — myśleć o Ludzkości, by zapomnieć o sumieniu; ale serce oburzone zawołało: *„to kłamstwo!“*

Nic mi już nie zostało! —

Ranek uchodził, a jam z trwogą myślała o południu, jak myśli o godzinie śmierci człek na szubienicę skazany. — A sumienie urągało sobie ze mnie i przedrwiwało moję boleść.

Załamałam ręce w rozpaczy, podniosłam oczy ku niebu — chciałam cudu — modliłam się tak gorąco —

— tak gorąco! — Ach nie zna niedoli prawdziwéj, nie zna prawdziwéj boleści—nie zaznał rozpaczy; kto jeszcze nigdy nie pragnął cudu — kto weń nigdy nie wierzył!

Jam tak mocno wierzyła że ten co zawiesił słońce morze światła lejące na błękicie; zrzuci mi z nieba trzy talary — żem oka nie odwróciła jeno ciągłem patrzała w górę. —

Nie spadły mi trzy talary ale mi spadła myśl jasna i prosta — myśl doskonała! — Oh! jakże dziękowałam za nię Bogu!

Wzięłam arkusz papieru i pióro i napisałam liścik następujący:

»Ponieważ Maryna o któréj mi Wielmożny Proboszcz Dobrodziéj sam mówił, że jest bez grosza, na sól i nie posiada nic oprócz dwóch prosiąt; — nie jest w stanie zapłacenia za pogrzéb ojca, boćby i chleb jeść bez soli i zimą zmarznąć musiała; — upraszam przeto WWpana Dobr. z méj strony o doniesienie mi, ile pogrzeb kosztuje, a ja zapłacę.« —

Liścik ten ładnie złożyłam i posłałam Dobrodziejowi.

Tymczasem zrobiłam zawiniątko ze czterech sukien, a myślę sobie: jeśli mi odpisze księżyna że trzy talary za pogrzeb — ja jemu poślę piękną znowu kartkę, napiszę mu że niemam teraz pieniędzy, ale daje w zakład cztery suknie.

Ledwo com ukończyła zawiniątko, a tu wchodzi posłaniec z odpowiedzią od księdza Dobrodzieja, który mi donosi jak najuprzejmiéj: że za pogrzeb Maryny nic się nie należy — jeno za pokładne, podzwonne i t. d. — cztery złote.

✣ ✣
✣

W kilkanaście dni po tém zdarzeniu, mówiono mi w pobliskiem mieście, że ksiądz proboszcz powstawał w jakiemś zgromadzeniu na moją niepobożność — skarżył się: żem — niepobożna niewiasta. —

KRYTYKA.

ROK 1843.

pod względem

oświaty, przemysłu i wypadków czasowych.

(Ciąg dalszy.)

W przypisku na str. 141 utrzymuje autór, że: »*oprócz wyjątkowych krytyków z professji, po większéj części tylko młodzi lub starzy literaci krytyką się bawią.* — *Dzielni zaś działać wolą. Raczéj wolą być powodami krytyki, niżeli sędziami*« Krytyką trudni się każdy, który czuje w sobie pociąg do tego sposobu działanja; że zaś kto nie jest usposobiony na krytyka, o tém przekonać go powinien ten, który mu to zaprzecza, nie stosując jednak sądu swego do liczby lat trudniącego się krytyką; bo wyrokujący *tak*, nie uwolniłby się jeszcze z pod ucisku staroświeckich przesądów. Aby zaś być krytykiem prawdziwym, albo, jak go autór nazywa, krytykiem z professji, niekonieczna, aby człowiek miał kilka dziesiątków lat, może nim być młody jako i stary, nietylko taki, co stoi w środku między młodymi a starymi; również, aby być nieusposobionym na krytyka, czyli aby się tylko *bawić* krytyką *), niekonieczna, aby kto był młody lub stary, może on też nie należeć ani do młodych ani do starych. — »*Dzielni zaś działać wolą. Raczéj wolą być powodami krytyki aniżeli sędziami*«, mniema autór. Zdanie to autora jest, jeżeli nie niedorzeczném, to przynajmniéj bardzo śmiesznéni. Z niego wypada słuszny wniosek, iż autór myśli, że krytykować nie jest to działać. Takie oznaczenie słowa *działać* tylko w słowniku spólnopostępowym może mieć miejsce. Dotychczać znaczy *działać* to samo, co *czynić*, a człowiek *działający* jest ten, co jest *czynnym*, a nawet innych do czynności pobudzającym; krytyk przecież także działa, a czasem więcéj, niż ten, co napisał jakieś dzielne pisemko, mocne działanie krytyka wywołujące. — Życzyćby zatém należało, żeby autór, jeżeli znowu kiedyś jakiemu wyrazowi powszechnie znanemu nadać będzie chciał znaczenie nowe, mniéj jeszcze znane, na czele rozprawy lub dzieła wprzód dowiódł: że ten i ów wyraz koniecznie musi mieć, jeżeli my zapatrujemy się na niego z innego stanowiska, to a to nowe, spólnopostępowe znaczenie. — Potém, czy istotnie dzielnym może być człowiekiem ten, który »*woli być powodem krytyki aniżeli sędzią?*« Lub, czy poddać się pod sąd innych, jest chwalebniejszém i może korzystniejszém tak dla siebie jako dla innych, niż być sędzią innych, jeżeli kto o czém potrafi sądzić? — Postępujący w sposób przez autora podany, jest albo niezdatnym oceniać czynności innych, albo człowiekiem słabego charakteru, tchórzem, który obawia się wyrzec zdania swego o czém, szczególnie jeżeli jest niepomyślne; albo grzecznisiem, co niechce ganić nikogo, albo

---

*) Bo kto krytykę uważa za zabawę, (która skrytykowanych nieraz wielkiego nabawia nieukontentowania), nie ma wyobrażenia o istocie krytyki, poniża ją. Krytyka ma pouczać, ale nie bawić. Tylko przechéranie bawi, najwięcéj zaś tego, na którego wymierzone, ale nie krytyka.

P. A.

zarozumiałym, dumnym uczonym, który zwracać uwagę swoję, na nie tak znakomite czynności drugich zastanawiać się nad niémi, wynajdywać uchybienia ich i wskazywać im środki, za pomocą których naprawićby mogli omyłki, poczytuje za niegodną wysokości swojéj fatygę. — Dzielny zaś, który sam potrafi coś dobrego zrobić, będzie przynajmniéj umiał ocenić to, co drudzy w znajomym mu przedmiocie zdziałali. Dzielny powinien nietylko sam działać ale i uwagę swoję mieć zwróconą na działanie innych.

Każdy Polak, gdziekolwiek się znajduje, obecnie powinien i może pracować piórem dla kraju swego. Wykazał to dobrze Jędrzéj Moraczewski w małym ale treściwym artykule pod tytułem: *»Kilka słów o szczególném stanowisku piśmiennictwa naszego.«*

Czém jest prawdziwy obywatel, jak może się nim stać, jakiémi są jego powinności, i jak urządzonym powinien być kraj, aby prawy jego obywatel mógł dopełnić powinności swojich, to wskazuje rozprawa Karola Libelta, pod tytułem: *»Odwaga cywilna«*, jasno i z zapałem wypracowana, dzielnie rozwinięta, pełna wybornych i bardzo przydatnych pomysłów. Tylko w kilku miejscach nie zgadzam się z szanownym autorem. Utrzymuje autór słusznie, (str. 14. zesz. II.), że *»przekonanie nie ma téj saméj siły, jeżeli nie jest w połączeniu z miłością.«* — Zatém powiada (str. 15.): *»Ileż to Galileuszów odwołało i wyprzysięgło się prawdy, na niecofnionych prawach rozumu opartéj — gdy życie dla téj prawdy zagroziła burza, gdy ponure i wilgotne ściany więzienia oziębiły duszę, a narzędzia tortur i śmierci zachwiały jéj hartem.«* — Nie brak miłości połączonéj z przekonaniem (bo wątpić nam należy czy owi Galileuszowie nie umiłowali przedmiotu, o słuszności którego byli przekonani, czy nie mocno przywiązani byli do niego) spowodował ich do odwołania prawdy; lecz zdaje mi się, iż zwichnięty w udręczoném ciele duch nie zdołał się oprzeć z zewnątrz nacierającéj na niego, aby go wycieńczyć, sile fizycznéj; albo może niejeden widząc, iż nareście jednak dognębi go przemoc fizyczna, wolał na pozór uledz woli mocniejszego, i zastósować się do przykrych okoliczności, aby napotém jeszcze, ile możności, działać dla umiłowanéj sprawy, do któréj przywiązało go przekonanie, — aniżeli stać się męczennikiem. Niezwyciężony hart charakteru, który konając czepia się mocno przedmiotu przekonaniem uchwyconego i gorącą miłością pielęgnowanego, nie jest danym każdemu obywatelowi, nietylko dobrze myślącemu, ale też działającemu dla sprawy publicznéj. — Na str. 20 autór mylnie pisze: *»(Kwestya ta dopiero dziś staje się żywotną). Dotąd naród był uosobiony w osobie rządzcy swego, dzieje jego były biografiją panującego. Nigdzie, nawet w dawnych rzeczachpospolitych, nie naród, ale prowadnicy jego występowali. Nikt téż, aby czego dokazać, nie udawał się do narodów, ale tych kilku mężów, w których ręku losy narodu, jak piłki, złożone były.«* Gdyby dotąd naród istotnie był uosobiony w osobie rządzcy swego, poznikałyby już dawno nazwiska narodów, a znalibyśmy samych tylko rządzców. — Biografijami panujących były i są po części jeszcze dzieje narodów, składających się z samych tylko niewolników, jak np. Turków, Chińczyków, itp. A choć wielu wystawiło i wystawia dzieje narodów w ścisłém następstwie panujących; jednakże podobnego skreślenia dziejów nie można nazwać biografiją panującego. Zresztą niejeden naród nie miał panującego, a nawet dziś niejeden naród w Ameryce i w Szwajcaryji obywa się bez niego. — Zawsze, szczególniéj za dobrych czasów dawnych rzeczypospolitych, cały naród lub część jego wraz z prowadnikami swymi występował; bo zawsze tacy muszą być, co siły ogółu lub części jego, w jedno złączają i niemi kierują. — Liczne przykłady z dziejów pokazują nam, że ten, co chciał dokazać czego, odzywał się do narodu. Przypominam krucyaty i Reformacyją. Papież wzywał narody do wojny przeciw Muhometanem albo poganom. Reformatorowie całemu narodowi przedstawiali, że prawdziwa nauka Chrystusa nie jest tém, co Rzym im narzucił. — Na str. 33. powiada autór: *»Każdy wie, że z głodu nie umrze (SIC), i uchyla troskę sama wiara w opatrzność boską, bo ptaki ani zbierają a ojciec niebieski żywi je.«* — Biedni Irlandczycy, gorliwymi będąc katolikami, i wierzący bezwątpienia mocno w opatrzność boską, w rzeczy saméj z głodu umierają, skoro nie znajdą sposobu wyżywienia się przez pracę; a ptaki, choć nie sieją, jednak zbierają to co inny zasiał. Bo sama wiara w opatrzność boską nie zasłoni ludzi od śmierci z głodu, jeżeli ta wiara nie wzbudzi w nich darów przez Boga udzielanych ludziom, aby rozwijali je do utrzymania własnego. Na str. 34 czytamy: *»Trzecią i najrozleglejszą potrzebą życia człowieka jest życie dostatnie, przy* znacznym *majątku bez* żadnego *(SIC!) kłopotu o przyszłość.«* — Życie takie godziłoby się nazwać potrzebą *mniemaną* i od wielu *pożądaną*; ale nie jest to prawdziwa potrzeba człowieka; podobne położenie nawet jest po większéj części szkodliwém. Widzimy bowiem, iż ludzie, których dostatni byt materyalny nie pobudza do pracowania choćby tylko na siebie, są często nieużytecznémi członkami społeczeństwa. — Na str. 35 charakteryzuje autór ludzi, którzy *»są w opozycyi wielkiego umysłowego i socyalnego ruchu i postępu, w obawie, by ich*

zdobyte i spokojnie dzierzone stanowisko nuruszoném nie zostało.« O nich utrzymuje autor na str. 36: *»Wszakże są to zdania, które jeżeli na przekonaniu oparte,* szanować *należy«* — Ludzi zagrzęzłych w nędzném samolubstwie, którzy przekonani są, iż sprzeciwiać się należy wszelkiemu umysłowemu i socyalnemu ruchowi i postępowi, szanować mają ci, co przeciwnie myślą i działają? Szanować tylko tego przecież można, którego postępowanie poczytujemy za słuszne, za godne; ale jeżeli czyje postępowanie uważam za niesłuszne, za niegodne, jakże takiego mogę szanować! Trzeba być koniecznie obłudnikiem lub człowiekiem bez charakteru, aby tak czynić. Owymi ludźmi tylko pogardzać można, na nich tylko rzucić wypada okiem miłosierdzia i litości, żałując, że napróżno wycieńczają swe siły, aby wstrzymać ludzkość, naturalnym torem naprzód dążącą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Die

Hebung des Gemeinsinns durch den Unterricht,

von

Karl Kleinpaul.

(Ciąg dalszy.)

Autór dawszy definicją, że spółeczeństwo na woli i na wiedzy wszystkich członków do niego należących polega, słusznie utrzymuje, że duch spółeczeński całość zespóloną obejmujący bezwarunkowo coś takiego przedsiębrać zabrania, coby dla téj całości w jakibądź sposób szkodliwém być mogło, lecz przy tém dodaje, że się duch spółeczny czyli publiczny w swéj czynnie występującéj działalności nie tylko na państwo lub też jego składowe ogniwa gminami zwane ogranicza, i że na spółeczeństwo z moralnych obyczajowych pobudek wpływać i działać można, nie będąc wcale duchem publicznym do tego powodowanym. Tu autór za nadto pojęcie ducha spółeczeńskiego ścieśnił: powiada on, że cel i czynność jakiego państwa, t. j. jakiéj jednostki spółecznéj zbyt ograniczonémi być mogą, aby się do podźwignienia i rozszerzania moralności, umiejętności i sztuki skutecznie przyczyniały, lub też tych przedmiotów wcale nie uwzględniają, jeżeli członkowie państwo tworzący na zbyt niskim stopniu oświaty pozostają; i że państwo tylko na to exystuje, aby wspólną wolę, wspólnym czynem w życie wprowadzać. Z tych zasad wychodząc odmawia on ducha publicznego czyli spółecznego, czyli obywatelskiego każdemu, coby za tym obrębem wspólnéj, ogólnéj nie zawsze przecież za widnokrąg ograniczoności i przesądu wydobywającéj się woli bądź to samopas, bądź toż w stowarzyszeniu z innymi to co dobre, piękne i ślachetne między swymi współobywatelami rozkrzewiać usiłował. Wszakże sam autór w inném miejscu powiada, że państwo trzy faze czyli okresy przebiedz musi: pierwszy okres odznacza się barbarzyńską surowością, gdzie nadmiar siły fizycznéj na zewnątrz się wyléwa, i tym sposobem państwa byt stanowi i zapewnia. Okres ten nazwałbym okresem młodzieńczéj junakieryi. — W drugim okresie wraca siła fizyczna do domu, owłada warsztaty, oddaje się spokojnéj pracy, przemysłowi, industryi i t. d., który to okres chlebowym nawaćby można. — W trzecim okresie ma państwo za cel szczególny moralność, umiejętność i sztukę, czyli znajduje się w okresie zmiérzającym ku prawdziwéj cywilizacyi. — Pytam się więc, czy ten nie działa dla państwa, czy ten nie posiada ducha publicznego, co moralność, umiejętność i sztuki wspiéra i rozkrzewia? Właśnie taki obywatel najlepiéj pojął dążność i przeznaczenie państwa, gdyż jemu nie tylko o to chodzi, aby państwo istniało, ale nadto pragnie, aby ono jako takie istniało, jako jakie istnieć powinno; — pracuje on koło tego, aby państwo aż do ostatniego możebnego stanowiska prawdziwéj oświaty doprowadzić, działa zatem zupełnie w interessie państwa a nawet wyższy cel swéj działalności naznacza, jak ten, co ku podźwignieniu i zakwitnieniu przemysłu swe siły obraca.

Po wykazaniu w pierwszym rozdziale, jak każdy obywatel dla dobra ogółu już to negatywnie, t. j. zaniechując wszystkiego tego, coby ogółowi szkodzić mogło, już to pozytywnie, t. j. nie szczędząc ofiar i krzątając czynnie koło tego wszystkiego, co się dobra ogółu dotyczy, działać powinien, przechodzi autór do drugiego rozdziału, w którym udowodnia, że życzliwość rzecz publiczną obejmująca z nauki religijnéj przynajmniéj jak teraz po szkołach wykładaną bywa; wcale nie wypływa, i że cnota obywatelska zupełnie się od cnoty religijnéj różni.

Podług naszego autora żąda religia miłości Boga z całego serca i z wszystkich sił; etyka zaś zaleca przedewszystkiem życzliwość względem ludzi, względem żony, względem dzieci, względem przyjaciela, względem brata, względem gminy, względem państwa, względem ludzkości całéj, i to nie powinna ona być skutkiem posłuszeństwa rozkazowi istoty zaświatowéj, lecz powinna być naturalnym wytryskiem wewnętrzne-

go ducha i serca ludzkiego. Religia nakazuje miłość bliźniego, ponieważ Bóg ją nakazał, a więc miłość taką, którą się Bogu przypodobać i przysłużyć mamy; etyka zaś zaleca bezpośrednią życzliwość ku ludziom, przeto nie wie nic o tém, aby się miała do woli istoty zaświatowéj stósować, gdyż taki cel poboczny czystą życzliwość samą przez się powstać i działać mającą psuje i osłabia. Toż to historia dowodzi, — a co już z natury rzeczy saméj wypływa, — że im się gorliwszym naród w religii staje, tym mniéj samodzielnego udziału w sprawach publicznych bierze, i wtedy to wzrostowi despotyzmu, w narodzie modlącym się żadnéj tamy nie znajdującego, tylko jeszcze władza duchowna, jako drugi despotyzm, czoło stawia; albowiem człowiek religijny sam się w sobie zamyka, zaprząta się cały swym stósunkiem do bóstwa, i swojem zbawieniem w życiu przyszłém, a jeśli jeszcze i za sobą w koło siebie czynnym, to najwięcéj w interessie religijnym. Dla tego też to despoci, dobrze o tem wiedząc, zawsze gorliwie za religią obstawali, i duchowieństwo sobie zjednać usiłowali. Cały ten rozdział zasługiwałby na obszérniejsze rozpisanie się, gdyby już zasad w nim wyrzeczonych Trentowski w téj części Cybernetyki, która o radykalizmie traktuje, po mistrzowsku nie był skréślił, lubo je na mocy swéj kojarzni, jako jedną tylko *»połć«* prawdy uważając, za prawdziwe nie uznaje. Przeto czytelnika nie mającego Kleinpaula pod ręką, do Cybernetyki z tą jednak uwagą odsyłamy, iż tylko zasady radykalne w témże dziele objawione za prawdziwe uznajemy, nie podzielając zdania Trentowskiego aby z pomięszania zasad historyzmu z zasadami radykalizmu prawda wyniknąć mogła. Późniéj może obszérniéj ten przedmiot opracujemy, a na teraz tylko na dotknięciu téj materyi przestać musimy. —

Przechodzimy więc do rozdziału trzeciego naszéj broszurki, roztrząsającego środki, jakie wychowywanie i nauczanie ku wywołaniu życzliwości rzecz publiczną obejmującéj, i ku jéj zupełnemu urzeczywiszczeniu podaje.

(Dalszy ciąg nastąpi w No. 16tym.)

ODPOWIEDZ

na

rozprawę: »Powinność i Poświęcenie« w Nrze 9. i 10. Dziennika Domowego.

(Ciąg dalszy.)

Recenzent mój podaje trzy stanowiska, które duch ludzki przychodząc do świadomości przebiega. »Pierwszém stanowiskiem jest *Bezpośredniość*. W tém stanowisku nieprzychodzi człowiek jeszcze do wyróżnienia jednostki od ogółu. Człowiek nie odróżnia miłości siebie od miłości narodu.« Tutaj sądzę, że dodać potrzeba, że nie tylko nie wyróżnia jednostki od ogółu, ale nawet żadnego jeszcze pojęcia ogółu nie ma; żyje więc w zupełnéj Bezpośredności. *Ale czémże w treści swojéj jest ta bezpośredniość? Oto niczem więcéj tylko miłością własną.* Stan bezpośredniości jest panowaniem miłości własnéj. Bezpośredniość, krytyka mego, jest więc tém samém, co ja nazywam Miłością własną. Żeby to z rozprawy mojéj jasno nie miało się okazywać, zaprzeczam, i tylko złą wolę lub uprzedzenie temu przypisać muszę, który mógł następnie *miłość własną* i *egoizm*, które dobitnie rozróżniłem, zidentyfikować. Powiedziałem bowiem na samym początku rozprawy: że miłość własna jest *do porównania* z Instynktem zachowawczym zwierząt, (nie identyfikuję jak mi krytyk podrzuca). — Wszakżeż stan zwierząt jest zawsze bezpośredni — człowiek w bezpośredniości swojéj również więc niejako przez instynkt tylko działa, ten instynkt zaś nazywam miłością własną. Krytyk (str. 70) powiada: »miłość własna — egoizm *(ostatecznie »powtarzam, że krytyk mięsza dwie różne rzeczy)* będąc momentem samowoli jest żądzą czynienia sobie »dobrze, nie zaś instynktem zachowawczym.« Naprzód więc odpowiadam: że miłość własna nie jest u mnie momentem samowoli, ale bezpośredniości, a właściwy egoizm dopiero jest momentem samowoli. Daléj zaś ten zarzut śmiesznym jest: że miłość własna jest żądzą czynienia sobie dobrze, nie zaś instynktem zachowawczym. Bo czemże jest instynkt zachowawczy? Jest to uczucie wrodzone, które mimowiedzy (jako instynkt) popędza nas do utrzymania naszego życia, do odpychania wszystkiego, coby nam szkodzić mogło a do starania się o wszystko, co nam jest pożyteczne, przyjemne. A żądza czynienia sobie dobrze czemże jest? zdaje się że, zupełnie tem samém, a przynajmniéj objęta jest w instykcie zachowawczym.

Opuszczając tymczasem następną krytykę, która daléj w ogóle znajdzie swą odpowiedź, a jest zupełnie

czcza, ponieważ nigdzie krytyk do pojęcia autora się nie stósował, lecz swoje widzimisię podkładał — przychodzę do wyrazów jego ku końcowi kolumny na str. 70 Dzien. dom. — »tak samo ograniczenie spełnienia »powinności prawami swojemi, jako ścieśniające za»kres działania dla dobra narodu, społeczeństwa, ogółu »słowem, jest nie zgodném z pojęciem powinności »i cnoty, a jako takie będąc fałszywe, upada samo »z siebie:« Cóż więc krytyk tém samém wyrzekł? Oto, człowiek jednostka nie ma żadnych praw swoich, nie ma więc właściwie, rzeczywistego istnienia, jest zerem, bo niczém, li tylko ideą abstrakcyjną — a zatém ogół, który z tych zer się składa, jest również abstrakcją, nieorganiczną jednością, rzeczywiście niczém. Krytyk nadaje jednostce tylko powinności dla ogółu, ale samo życie, istnienie téj jednostki zaprzecza, zlewa te jednostki w jedną bezkształtną całość, ogół, w któréj znikają. Jego ogół, jest to więc ten ogół, który w szemacie moim, który nienapróżno na czele odpowiedzi na krytykę umieściłem, stoi pod N^rem^ 2., — to jest *forma bez treści*. Nauka społeczna, któraby do tego rezultatu dochodziła, jest niepraktycznem urojeniem, utopią.

Co do mnie, nie pojmuję ogółu takiego, lecz ogół rzeczywisty w szemacie N. 3 — pojmuję że w ogóle leżą jednostki, że miłość ogółu jest wyższą od miłości własnéj — i przeciwko temu nigdzie w méj rozprawie nie wykroczyłem, — ale daję jednostkom rzeczywiste istniente, a to przez nadanie im praw. — Najogólniejszém wyrażeniem praw jednostki, *jest prawo do życia w ogóle, w społeczeństwie*. Do poznania tego prawa doprowadza jednostkę miłość własna bezpośrednio; ogół zaś przyznaje to prawo koniecznie jednostce, jako części organicznéj składowéj swéj całości, bo prawo to stanowi życie, jest po prostu wyrażeniem istnienia jednostki. Nie tylko więc pojęcie praw jednostki nie jest zawadą — jak mylnie krytyk utrzymuje — dla miłości ogółu, ale owszem prawdziwe pojęcie praw jednostki doprowadza właśnie do szanowania praw nie tylko swojéj indywidualnéj jednostki ale i praw wszystkich innych indywiduów, a zatém do sprawiedliwości, następnie do zamiłowania tych różnych sobie jednostek w pojedyńczości i w zbiorze, to jest w ogóle, więc ostatecznie do miłości ogółu.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

W Warszawie drukuje się zbiór pieśni ludu polskiego w górnym Śląsku zebranych przez p. Józefa Lompę nauczyciela w Woźnikach — z melodyami.— Jest ich kilkaset. W tym zbiorze znajduje się też kilkadziesiąt pieśni ludu polskiego w dolnym Śląsku zebranych przez p. pastora Fiedlera w Międzyborzu.—Do druku ułożył ten zbior p. Bojanowski.—Tamże ogłoszono prenumeratę na noworocznik »Fiołek na rok 1845 zebrany przez Z. S......ą. — W sprawozdaniu, (w N^rze^ przeszłym) niewspomnieliśmy jeszcze o wyjściu Przewodnika do nauczenia się języków: niemieckiego, rossyjskiego, francuzkiego i polskiego p. H. Bertholda, — 10^tym^ zeszycie tłómaczenia historyj Napoleona przez E. Marco de St Hilaire i zapowiedzianém tłómaczeniu nowego romansu Eugeniusza Sue, którego dzieła dopóty, dopóki pięknie jenialnie pisał — mało były czytane — gdy rzucił się na szarlataneryą, jak n. p. w Tajemnicach Paryża ubóstwiane w Francyi — a więc i u małpków reszty Europy. Jego »Żyd wieczny Tułacz« w księgarni Orgelbranda wychodzić będzie.

W Wrocławiu u Korna, wyszły »Kazania na wszystkie niedziele roku kościelnego,« przez Roberta, pastora przy ewanielickim kościele, w Międzyborzu w dolnym Ślązku.« (ark. 10.)

OSWIADCZENIE.

Na żądanie autora »pare scen z życia chłopa polskiego« i autorki, dzieła »Kilka wspomnień i kilka obrazów,« z których jeden wyjątek umieszony w N^rze^ 12, 13 i 14, oświadczamy, iż kilka najpiękniejszych ustępów, *przymuszeni* byliśmy nie z naszéj winy kazać opuścić. Że mianowicie ustęp pare scen i t. d. niezmiernie na wykréśleniu stracił, oświadczamy niniejszém.

Red. T. L.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach, i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*